(Skrochowski Ign.)

Bratu tych Sióstr

które z Irunskiego Fortu

do obozu Don Karlosa

pierwsze złowróżbne pociski wysłały

ofiarował Autor.

WYCIECZKA

DO OBOZU DON KARLOSA.

Skoro tylko zapadł nademną miły wyrok, że muszę w jesieni pojechać do morskich kąpiel, Biarrits odrazu najwięcej mi się uśmiechało. Południowy klimat w połączeniu z natarczywością fali morskiej silniejszej podobno nawet od bałwanów północnego morza zalecają ten uroczy zakątek biskajskiej zatoki przed wszystkiemi innemi wybrzeżami oceanu, jako jedno z najlepszych i najmilszych miejsc kąpielowych w Europie. Także i to, że aby dostać się do Biarrits, przejechać trzeba pierwej przez całe Niemcy i Francyą, bardzo za niem przemawiało.

Wprawdzie słynna świetność Biarritskiej Plaży do historyi już należy, — choć od niedawna dopiero się datuje, — ulubione miejsce pobytu Napoleona III, a bardziej jeszcze wszechwładnej bogini mody swego czasu Cesarzowy Eugenii, musiało z upadkiem cesarstwa we Francyi wiele ze swego blasku utracić. Zawsze jednak i po tej katastrofie Biarrits zachowało dosyć uroku żeby nęcić do siebie mieszkańca północy, bo choć zgasła gwiazda Napoleona mimo tego przecież ani południowe słońce się nie zaćmiło, ani ożywczy ocean jasnych promieni jego nie przestał łamać w tysiączne barwy i odbijać falując w nieskończoność....

Wreszcie sąsiedztwo Hiszpanii, może najmniej uprzykrzonego zwiedzaniem kraju w Europie, i do tego jeszcze wojna na tym zacza-

rowanym półwyspie, wojna o której nigdzie prawdy dowiedzieć się nie można pomimo kolei i telegrafów, roznoszących o niej ciągle tylko jak najsprzeczniejsze wiadomości, wojna jakaś zagadkowa, tajemicza, jakby nie tegowieczna, romantyczna i w romantycznych Pireneach, — i ta wojna od Biarrits o mil parę, wyznaję szczerze, że wzgląd nato niemało przyczynił się do tego że Biarrits tak bardzo mię nęciło.

W drugiej połowie sierpnia już byłem w drodze.

Podróży przez Niemcy opisywać nie będę, nie wytrzymałbym konkurencyi z wyborną książką pana Tissota, nie można dziś o Niemcach napisać nic zabawniejszego i bardziej zajmującego jak jego *Voyage au pays des Milliards.* Zresztą lotem ptaka prawie przebyłem Niemieckie kraje, niezatrzymując się po drodze tylko jeden dzień w Norymberdze i parę dni w Ems, gdzie mi przyjaźń zboczyć kazała. Norymberga zanadto przenosi wyobraźnię o cztery, o pięć wieków w przeszłość żeby można o niej pisać tu, gdzie nam zbliska dotknąć wypadnie najświeższej karty dziejów, dzisiaj jeszcze zapisującej się krwią i żelazem. Milczeć musi dzisiaj ta ulubienica gotyckiej muzy, ta germańska Florencya, choć się głosu domaga, bo mnóstwo najmilszych wspomnień i wrażeń w pamięci mojej wywołuje, lecz nie słucha się chętnie cichej, poważnej, spokojnej a fantastycznej i rozkosznej mowy odwiecznych dzieł sztuki, gdy się jest pod świeżym wrażeniem grzmiącego i dosadnego języka dzisiejszej cywilizacyi, huku dział i świstu bomb nienawistnych zarówno ludziom jak i kamiennym pomnikom architektury.

Z Norymbergi wypadła mi droga przez Frankfurt, Ems, Sedan, Paryż, Orlean, Bordeaux — do Biarrits, jechałem więc ciągle korytem dziejów ostatniej wielkiej wojny prusko-francuskiej, zanim dotarłem wreszcie do jej źródła, do Biarrits, t. j. do miejsca gdzie p. Bismark miał sposobność przekonać się najoczywiściej, że Napoleon III. *c'est une médiocrité méconnue*, że mu łatwo można odebrać berło europejskiej polityki, by chwycić je w swe żelazne ręce. I Sadowa i Sedan były to tylko nieubłagane konsekwencye logiczne Biarritskich pogadanek pomorskiego Junkra z mniemanym sfinxem z nad Sekwany w latach 1862, 64 i 65, w których to pogadankach p. Bismark zrobił powyższe odkrycie i zarazem znalazł drogę do swojej wielkości!

Chociaż dziwnym zbiegiem okoliczności jechałem ciągle szlakiem krwawego dramatu wstecz od Frankfurtu do Biarrits, zajęty byłem, zwłaszcza we Francyi, bardziej teraźniejszością i widokami na przyszłość, aniżeli rozpamiętywaniem choćby tak świeżej przeszłości jak ostatnia wojna francuzka. Żyjemy w tak gorączkowych czasach, pod wrażeniem li tylko ostatnich depesz, że r. 1870 to już daleka przeszłość, średnie wieki, z których w Paryżu i we Francyi gdzieniegdzie sterczy jeszcze kilka ruin, a zresztą niema już i śladu z tej epoki.

Wjechawszy do Francyi uderzony byłem widokiem jak szybko kraj ten potrafił się podnieść materyalnie i po tylu klęskach wrócić do dawnego stanu. Paryż świetny jak był, zawsze pierwsze miasto na świecie. Na prowincyi także wszystko kwitnie, wsie i miasteczka jakby w ogrodach porozsiewane uśmiechają się przejezdnemu czystością i mnogich drzew zielenią. Widząc to wszystko nie jest się jednak zupełnie zaspokojonym, ciągle na każdym kroku w Paryżu i we Francyi nosi się z sobą w duszy pytanie, czy też i pod moralnym względem Francya także jest na drodze odrodzenia, czy umiała ze swej przegranej odpowiednią wyciągnąć naukę, czy nie na to tylko tam wszystko kwitnie, żeby się znowu stało pastwą pierwszej lepszej komuny, lub najazdu nieprzyjaciela, któremu stawić czoło nie będzie dość siły. Instynktowo oczy zwracają się na armię i na stan robotników, bo czuje się, że na łasce tych dwóch klas polega dzisiaj *status quo* we Francyi. I tu z radością przyznać można, że praca zdrowo myślących a wpływowych jednostek bardzo się ku temu zwróciła, żeby polepszyć stan i podnieść ducha i usposobienie moralne tych dwóch klas społeczeństwa, które najbardziej tego potrzebują. W tym celu powstały w ostatnich latach we Francyi instytucye potężne, którychby turysta na próżno był tam szukał przed Sedanem, a które dzisiaj życzliwemu Francyi oku doprawdy większą sprawiają uciechę, aniżeli cuda Louvru, Bulwary. i nowy gmach opery, bo i one także łatwo mogły podzielić los spalonych Tuilleriów, gdyby dla pozostałych świetności Paryża nie postarano się zawczasu o bióra asekuracyjne, jakiemi są poczęści pomienione instytucye.

Mam tu na myśli katolickie kółka ouvrierów i wojskowych, które się nadspodziewanie w całej Francyi, a mianowicie po większych miastach, gdzie też są najpotrzebniejsze, mnożą i rozwi-

jają. Już przeszło 300,000 francuzkich robotników są członkami owych towarzyskich kółek, na których czele, zwłaszcza w Paryżu, stoją powiększej części młodzi, niezawiśli ludzie z pierwszych domów, pełniący dość ciężkie obowiązki li tylko z poświęcenia dla dobrej sprawy. Zwiedziłem jeden z takich zakładów w Paryżu, gdzie ich jest 60, są to prawdziwe falanstery, tylko że zorganizowane nie w celu wspólnej pracy, lecz w celu wspólnego święcenia niedziel i wypoczynku po ciężkiej tygodniowej pracy pośród wzajemnej, przyzwoitej zabawy. Lecz i o wyszukanie odpowiedniego zarobku dla członków swoich musi się starać zarząd katolickich kółek. Każdy z tych zakładów ma swoją kaplicę i swego kapelana i uważany jest za osobną parafię. Reszta lokalności, ogród, mieszczą w sobie miejsca rozrywek, bibliotekę, czytelnię, tanią restauracyę i t. p. Słowem obmyślane jest wszystko jak najlepiej, żeby młodzi i starzy robotnicy, nie mający rodzinnego kółka, mogli pomimo tego dnie świąteczne spędzić po bożemu i uchronić się od miejskiego zepsucia. A jak wesoło się tam wszyscy bawią i jak przykładnie odprawiają nabożeństwo, miałem sposobność sam na własne oczy się przekonać.

Jeszcze milszych wrażeń doznałem w jednym z obozów francuskich, który zwiedziłem pod Paryżem w Meudon. Kapelanem tego obozu jest Polak, ksiądz Witkowski ze Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, który dzielnem odznaczeniem się w służbie ambulansowej podczas oblężenia Paryża i w czasie komuny zdobył sobie powszechne uznanie, krzyż legii honorowej i kilka innych jeszcze dekoracyj. Jemu więc zawdzięczam, że zwiedziłem obóz francuzki, w którym się mieści stale 5000 żołnierzy. Panuje tam wszędzie wzorowa czystość i porządek; drewniane baraki z małemi ogródkami wyglądają tak ponętnie, żeby się aż samemu prawie miało ochotę w jednym z nich zamieszkać. Największy z tych baraków to żołnierskie kasyno (cercle militaire). W głównej sali tegoż duży krucyfiks u sufitu przypomina żołnierzom i w tem miejscu poświęconem rozrywce, że są katolikami. I tu także prócz bilardu jest biblioteka, są dzienniki i t. d., wszystko urządzone jak w *cercles ouvriers*, tylko że na mniejszą skalę., a z jakiem uszanowaniem, z jaką serdecznością witają tam żołnierze swojego kapelana! Opodal kaplica drewniana; choć obszerna, nie może pomieścić wszystkich asystujących nabożeństwu, i daleko w około oblężona jest przez pobożnych żoł-

nierzy śpiewających chórem religijne pieśni. Obóz ten położony na wzgórzu przypiera do ruin pałacu ze ślicznym niegdyś parkiem księcia Napoleona, co wszystko podczas oblężenia Paryża zniszczyli Prusacy. Patrząc równocześnie to na złowrogie ruiny wspaniałego gmachu, to na poczciwy obóz, rozścielony u stóp jego, ma się przed sobą obraz strasznej katastrofy i zarazem jakby zadatek lepszej przyszłości Francyi. A gdy znowu spojrzy się w przeciwną stronę, gdzie jak szeroki widnokrąg i jak daleko okiem zasięgnąć można roztacza się i wzrok zachwyca wspaniałe panorama zamglonego nieco Paryża, jakże szczerze pragnie się, żeby nie były płonne nadzieje lepszej przyszłości dla Francyi z jej śliczną stolicą. Jednakowoż nie trzeba się łudzić, żeby w kilku latach naprawić się mogło co zepsuły wieki; potrzeba na to długiego czasu, żeby działanie społeczne jednostek. chociaż najskrzętniejsze, zaważyć mogło i na szali politycznej.

Dopóki byłem w Paryżu, z nałogu i obowiązku utrzymywałem się *au courrant* bieżących wypadków politycznych. Łatwość nabywania gazet, które tam same lezą w ręce, bo co chwila spotyka się kioski ze świeżemi dziennikami, nie dozwala zaleźeć pola. Z większą ciekawością niż kiedykolwiek szukałem nowin z Hiszpanii, z teatru wojny, do którego miałam w krótce tak bardzo się zbliżyć. I właśnie podczas mego pobytu w Paryżu dochodziły ztamtąd takie wieści, jakby już Karliści na całej linii byli zupełnie rozbici. Była to właśnie chwila kiedy karlistowska twierdza Seo d'Urgel się poddała. Kapitulacya jednej z najważniejszych fortec, do tego codzienne depesze po wszystkich dziennikach o dezercyi całych oddziałów na terytoryum francuzkie, o rozdwojeniach w samej nawet kwaterze Don Karlosa, wszystko to zwiastowało jakby początek końca jego karyery. Wyjeżdżałem więc do Biarrits w przekonaniu, że doczekam się tam już ostatecznej katastrofy, gdy resztki rozbitków chronić się będą na francuzką stronę Pireneów. W takim razie przypuszczałem oczywiście, że i Biarrits zaludni się niezawodnie Karlistami, i już układałem sobie, jak będę się starał porobić między nimi znajomości, żeby z różnych opowiadań utworzyć sobie ile możności jak najżywszy obraz tej trzechletniej bohaterskiej epopei z tragicznym jej końcem.

Opuściłem Paryż 3 września wieczorem, nazajutrz rano nie długo po wschodzie słońca dojeżdżałem już do Bordeaux. Ta noc była dla mnie jakby odwróceniem karty w książce wrażeń z mojej podróży na zupełnie nowy jej rozdział, w niczem nie podobny do tego, który zakończyłem wczoraj, bo zaszła zupełna „zmiana w scenach mojego widzenia.“

Szybkość jazdy pociągu między Paryżem a Bordeaux rozległość przestrzeni jaką przebyłem od wczoraj. mógłem zmierzyć już po samym blasku słońca. Zasnąłem jeszcze w strefie umiarkowanej, zbudziłem się już w południowym kraju. Lazur nieba, wegetacya, charakter. tło i oświecenie krajobrazów, nawet rodzaj budowli wszystko żywo mi przypomniało Włochy, jeszcze nie czarowną i klasyczną Toskanę, ale już lombardzko wenecką dolinę. Z drżeniem serca pod wrażeniem najmilszych wspomnień zbliżałem się do Bordeaux. Pośród wzgórz obfitych w winnice nad wspaniałą Garonną do połowy jakby zarośniętą lasem masztów idących o lepsze z gotyckiemi wierzycami kościołów, jakże rozkosznie kąpało się to miasto dołem w nurtach wody górą w jasnym lazurze nieba, błyszcząc światłem dopiero co nad mgłą poranną tryumfujących promieni słonecznych. Czarna otchłań długich tuneli, w które dojeżdżając do Bordeaux kilkakrotnie się wpada, odrywają brutalnie z piekielnym chałasem oczy od wspaniałego widoku, tak że tylko chwilami nim się cieszyć można, wreszcie wjeżdżając na długi most między niebem a wodą zawieszony, używa się go w całej pełni, ale krótka radość, wnet świat cały miga się tylko przed oczami, gdyż most także jak tunel upleciony z kratkowanej siatki białych krzyżujących się żelaznych belków. Świst lokomotywy zapowiadał już dworzec kolei a z nim całą prozę życia po kilku chwilach upojenia.

Bo też niema na świecie nic prozaiczniejszego jak dworzec kolei, zwłaszcza gdy się wjeżdża do niego rano, po niedospanej nocy w nieznanem mieście, gdzie nikt bliski z pewnością nie wyjdzie naprzeciw, czekają tylko i to nie zawsze tragarze, których się dowołać trudno i nudne formalności i kłopoty z pakunkami rewizyami fiakrami i t. d. Nawet najlichsze gospody przy drodze znalazły swoich poetów i to wcale nie poślednich. Cerwantes uwiecznił w Donkiszocie hiszpańskie *Posady*, najwdzięczniejszy poemat niemiecki odgrywa się w oberży „*Zum Goldenen Löwen*“ a nawet nasze brudne żydowskie obszarpane karczmy mają osobny

epizod w Panu Tadeuszu. Ale niechby kto chciał dworzec kolei żelaznej pomieścić w ramach swego poematu, nie potrafi chyba że napisze libretto do *Vie Parisienne*, albo przerobi na dramat *Podróż na około świata* pana Verna.

W Bordoaux zatrzymałem się dzień jeden. Wystarcza to zupełnie na obejrzenie miasta, jeśli się niema zamiaru odbyć pobożnej pielgrzymki do owych źródeł cudownych na około miasta, do Medoc, Laffite. Mouton, Pichon, La Rose, Latour, Margaux, St. Julien etc. etc· z których cała ludzkość cywilizowana czerpie swoje wina, lub przynajmniej napisy na butelkowe etykiety. Odbył tę pielgrzymkę przed trzynastą laty dzisiejszy wielki kanclerz pruski i z rozczuleniem opisał żonie *dise reizende Tour* jak wszystkie powyżej wymienione wina, i jeszcze wiele innych pił (*in der Ursprache)* w pierwotnym, rodzimym ich języku.

Nie bądąc znowu zbyt wielkim czcicielem bożka Bachusa, zadowalniałem się i mniej pierwotnym, miastowym, „etykietalnym“ strojem i smakiem czerwonych nektarów, i wcale nie przeczę, że towarzystwo ich bardzo uprzyjemniało mi pobyt w Bordeaux, zwłaszcza z dodatkiem dobrej kuchni, jaką to miasto slynie i morskich przysmaków w które obfituje.

Chociaż nie hołduję wcale materyalistycznym teoryom, w Bordeaux przyszedłem jednak do przekonania, że pokarm i napój wraz z dobrym klimatem muszą wywierać ogromny wpływ na fizyczność ludzkiej istoty. Mieszkańcy w Bordeaux nie robią wstydu winom które spijają, uderzają bowiem szlachetnością postawy i rysów. Zwłaszcza płeć piękna jest tam rzeczywiście piękną, i słusznie słyną z wdzięków smukłe Bordelaisy, wyniosłe i dorodne postacie z południowym, prawie wschodnim typem twarzy.

Znużony już zwiedzaniem Paryża, nie zadawałem sobie wiele pracy w Bordeaux żeby koniecznie być wszędzie i wszystko widzieć co godne widzenia. Wałęsałem się po ulicach miasta gdzie mię oczy niosły, idąc za pierwszem lepszem wrażeniem, wstąpiłem po drodze do kilku pięknych starych gotyckich kościołów i byłem nawet w jakiejś dosyć ciekawej galeryi obrazów w pałacu, wśród ślicznego parku. Najwięcej zaś czasu spędziłem nad rzeką na terasie gdzie panuje nieustanny ruch i widać wiel-

kie życie, gdyż Bordeaux to jeden z pierwszych francuskich portów handlowych.

Lekka i wesoła atmosfera roskosznego Bordeaux, gdzie się czuje już niemałą skłonność do południowego *dolce far niente*, tak mię usposobiła, że „drzwi od Europy zamknąwszy hałasów“ nie zaglądałem nawet do żadnej gazety. Zapomniałem o Don Karlosie o Hercogowinie o *Kulturkampfie* i o dwóch kanclerzach, nawet o nieobsadzonej posadzie namiestnika w Galicyi, i oddałem się zupełnie pod pantofel chwilowym wrażeniom, które grały jak same chciały na słabo wyprężonych stronach mojej wyobraźni, a ja się tej cygańskiej muzyce dość leniwie przysłuchiwałem.

Tak samo minął mi i dzień następny. Spędziłem go już nad morzem w Arcachon, miejscu kępielowem niedaleko Bordeaux. Była to niedziela, a w każdą niedzielę w lecie jeśli tylko pogoda całe Bordeaux wyjeżdża do Arcachon, prócz tego i miejscowych gości było tam wielkie mnóstwo tego roku.

Przeszło pół mili długa ulica ładnych, często nawet wspaniałych wili wzdłuż brzegu morskiego Basseinu: oto całe Arcachon.

Po nabożeństwie rannem przez cały boży dzień przechadzałem się nad morzem po plaży jak Arcachon długiej. Nie jest to jeszcze sprawiedliwe morze, raczej jezioro ogromne, około którego zielenieją się płaskie brzegi okryte sosnowym lasem. Jestto jakby forpoczta morska w głąb stałego lądu wysunięta, ciągłym oddechem fali i szumem zwiastująca już bliskość pełnego Oceanu.

Dzień był skwarny, powietrze przesycone wyziewami morza zbyt silnemi żeby je nawet balsamiczna woń bliskich lasów sosnowych złagodzić mogła, długi szereg willi frontem ku morzu zwrócony malował się na szafirowem tle nieba jaskrawo i plastycznie, bo malarzem było południowe słońce. Oczy jednak zwracały się chętniej w przeciwną stronę na otwarte morze mieniące się kameleonowemi barwami. Lecz nie było tam czasu zatapiać się w efektach światła i kolorytu, bo wzdłuż całego wybrzeża uderzał cię ruch i życie nie do opisania, spotykałeś tysiące przybyszów z Bordeaux i stałych arcachońskich gości, a w tem różnobarwnym tłumie dużo było pięknego i eleganckiego świata ze wszystkich europejskich krajów, najwięcej zaś ślicznych dzieci rozkoszujących w nadbrzeżnym piasku, nie darmo Arcachon nazywa się „rajem dzieci.“ Wszystko to zalegało brzeg

wody w malowniczych grupach, oddychając morskiem powietrzem lub wygrzewając się na słońcu, lub też przypatrując się tysiącom innych, co lepszą cząstkę obrawszy używali chłodzącej kąpieli wszyscy razem, w kostiumach, które na stałym lądzie byłyby może dla pań i dla nas trochę żenujące, w morzu jednak zupełne prawo obywatelstwa sobie zyskały.

Dla mieszkańca głębokiego kontynentu znaleść się nagle nad morzem, pośród mnóstwa nieznanych dotąd piękności natury i do tego spotkać się z owem *sans gênes* w zwyczajach jakie tylko w kąpielach morskich się praktykują, jest to jakby od razu na nowym przebudzić się swiecie, gdzie z gruntu wszystko jest inaczej jak to doczego się przywykło. Trudno sobie dać radę z mnóztwem tłoczących się ciągle nowych wrażeń, nie wie się czy się jest we śnie czy na jawie, czas piorunem ulatuje, a niby znowu trwa nie wiem jak długo, bo rzeczy co były wczoraj wydają się jakby już przeszłoroczne wspomnienia. Czytelnicy wybaczą mi łaskawie że i tego dnia wcale gazet nie czytałem.

Nazajutrz rano dotarłem wreszcie do Biarrits. Tu już Ocean nie zamaskowany żadnemi forpocztami, w całej wspaniałości bezpośrednio na ziemię zaciera, i albo rozbija się o skaliste brzegi, lub też nie mogąc wśliznąć się wyżej na piaszczystą ławę, powoli napowrót w swą otchłań się stacza próbując nanowo odwiecznej roboty Syzyfa. A jakże często jak silnie naciera, jak się pieni i huczy nieustannym grzmotem, — ziemia milczeniem zbywa jego ataki i dalej niewzruszona żyje, kwitnie i rodzi, gdyż przed wiekami jeszcze rzekł Bóg: „niech się stanie utwierdzenie między wodami,“ i sam później położył granice między ziemią a morzem, i potężny Ocean bezsilny jest wobec Bożego słowa, choć od wieków walczy z ziemią.

Śliczna bo jest arena tej walki w Biarrits: obszerna zatoka i szeroko na morze rozwarta, u wrót jej na dwóch najdalej w morze wysuniętych skalistych przylądkach stoją jakby na straży na jednem latarnia morska, na drugim statua Matki Boskiej, *Maris Stella*, opiekunka żeglaży i miasta malowniczo rozłożonego po wyniosłych brzegach zatoki, ostrzega z daleka żeby się żaden okręt do tego portu zawinąć nie ważył, bo znalazłby smierć niechybną, rozbiłyby go fale o nadbrzeżne skały. Za to też tem piękniejszy widok z Biarrits na czyste pełne

morze na którem statki ukazują się tylko chyba na ostatnich krańcach widnokręgu.

W Biarrits już do reszty oddałem się zupełnemu *dolce far niente.* Nie zastawszy tam nikogo ze znajomych, nie miałem żadnej bezpośredniej styczności z ludzkiem towarzystwem, i choć ciągle byłem wśród zgiełku pięknego świata biarritskich gości, byłem sam, jak nigdy na świecie. Mieszkałem w jednym z największych hoteli nad samem morzem, z przepysznym widokiem z terasy i z salonów kasyna, gdzie się zbierało Biarritskie towarzystwo po południu na koncerta, co wieczór na tańce. Bawiono się bardzo wesoło koło mnie, i było na co popatrzeć, bo Francya, Hiszpania i Anglia rywalizowały doborem dam najpiękniejszych. Była to najświetniejsza chwila Biarritskiego saisonu, podczas wyścigów konnych, które Biarrits z Bayonną razem urządzały. Błądziłem pośród tych wszystkich uroków świata i wystawiony byłem na podobną próbę jak ów rycerz z bajki co szukając zaklętej księżniczki znalazł się nagle w zaczarowanym pałacu, gdzie przyjmowano go znajwiększą gościnnością, robiono mu wszelkie honory, dostarczano wszystkiego, tak, że niebrakowało mu nic chyba ptasiego mleka, nie wolno mu jednak było o nic się pytać, z nikim wszczynać rozmowy, skazany był na milczenie.

Choć mi ta próba była czasem ciężką, i nieraz budziło się we mnie towarzyskie zwierzę, osamotnienie moje miało jednak dobrą i przyjemną stronę, stojąc dalej od ludzi, zbliżyłem się do natury, podziwiałem jej cuda, któremi słynie ten uprzywilejowany zakątek ziemi i morza. Kąpiele morskie, dalekie spacery po ślicznych okolicach do Chambre d'amour, (słynnej groty nad morzem gdzie przed wiekami chroniąca się para kochanków śmierć znalazła od gwałtownej fali, która niedyskretnie aż do groty się wdarła), do Bois de Boulogne, lub wzdłuż wybrzeża morskiego ku Pyroneom idąc gdzie mnie oczy niosły, i różne inne jeszcze piesze wycieczki zapełniały mi dzień całkowicie. Odpoczywałem umysłowo, w miłem zapomnieniu o wszystkich nędzach żywota własnych i cudzych przeszłych i teraźniejszych, najmniej myślałem o polityce, a z historyi świata obchodziła mię tylko ta epoka, kiedy „Duch Boży unosił się nad wodami: I rzekł Bóg niech się stanie światło.“ Gdyż światło, ciepło słoneczne i morze to były stworzenia z któremi wówczas naj-

bliżej obcowałem, i gdybym nie był pamiętał że jestem chrześcijaninem, byłbym się może stał czcicielem słońca i morza.

Wkrótce tak się zdarzyło, że do Biarrits zjechało się z różnych części Polski bardzo miłe polskie towarzystwo, i wyprowadziło mię wnet z tego stanu zdziczenia w jakie w pierwszym tygodniu mego tamże pobytu popadłem. Ludzkie sprawy już mnie więcéj zajmować zaczęły, już do gazet coraz częściej zaglądałem, lecz o polityce a zwłaszcza o Hiszpanii o Don Karlosie dużo mniej wiedziałem w Biarrits niźli nawet w Krakowie. Z paryskich gazet tylko czerpałem wiadomości o tem co się dzieje za Pyreneami choć byłem od nich o trzy mile. Żyjąc ciągle w polskiem towarzystwie, z cudzoziemcami żadnej nie miałem styczności, z Hiszpanami spotykaliśmy się wprawdzie co wieczór w kasynie, lecz tylko nato, żeby się przypatrywać ich dziwacznym manierom i niezwykłym sposobom tańczenia najzwyklejszych tańców, walca, polki *im spanischen tritt*, a po humorze z jakim się bawili niebyło wcale nawet można poznać, że są z kraju w którym wre wojna domowa.

Wreszcie około połowy września zaczęły aż do nas dochodzić pogłoski o jakiejś małej utarczce na samej granicy w okolicach Irunu, która nieszczęśliwie dla karlistów wypaść miała. Właśnie tego samego dnia ułożyliśmy się, żeby nazajutrz wybrać się *ingremio* do *St. Jean de Luz* i projekt nasz przyszedł szczęśliwie do skutku. Około południa wyjechaliśmy dwoma koszyczkami *(paniers)*, które w Biarrits bardzo są w modzie, w siedm osób z czterema damami ku Pyreneom, jest to jedna z najpiękniejszych wycieczek jaką z Biarrits zrobić można. Droga idzie często samym brzegiem morza i ma się ciągle widok na coraz bardziej zbliżający się długi łańcuch Pyreneów i na górzyste hiszpańskie wybrzeże biskajskiej zatoki niknące daleko na zachodzie w pomroce mgły i oceanu. Nadspodziewanie prędko stanęliśmy u naszej mety, gdyż do St. Jean de Luz z Biarrits niema jak półtory mili. Wnet nacieszyliśmy się dostatecznie widokiem rozkosznie nad morzem położonej mieściny i zwiedziliśmy wszystkie jej osobliwości, wcale ładną katedrę z bardzo oryginalnym wnętrzem i dom, w którym Ludwik XIV obchodził zaręczyny z infantką Hiszpańską Donną Margueritą. Czas był prześliczny, słońce jeszcze wysoko stało na niebie, właściciele naszych wehikułów ofiarowali się, że jeśli chcemy podwiozą nas dalej, aż do

granicy hiszpańskiej do *Behobie* i do *Hendaye*, zkąd będziemy mogli przeprawić się przez *Bidassoyę* do Hiszpanii, do *Irun* i *Fuentarabii*, co wszystko, zapewniali, jeszcze za dnia zrobić można. Po krótkim namyśle, będąc w doskonałych humorach, przystaliśmy na tak ponętną propozycyę, i wnet puściliśmy się w dalszą podróż.

Jeśli droga do *St. Jean de Luz* była już piękną, to im dalej ku Pyreneem, coraz bardziej urocze napotykaliśmy krajobrazy. Okolica górzysta, lecz wcale nie dzika, pełna drzew i świeżej zieloności, a dopiero na ostatnim planie rysowały się ciemne profile skalistych i przepaścistych szczytów nieprzyjaznych człowiekowi i wegetacyi. Wkoło nas zaś była jak największa miara i rozmaitość w układzie i ugrupowaniu mas górzystych i nie rzadko przy gościńcu napotykaliśmy zamki, wille i pałacyki wśród zielonych parków. Właśnie kiedyśmy z góry na górę wijącą się drogą przejeżdżali przez ten kraj tchnący zacisznym spokojem i dostatkiem, usłyszeliśmy nagle z dala jakby głuche uderzenie piorunu, nie zdając sobie zrazu sprawy, coby to być mogło. Huk ten powtórzył się raz i drugi i coraz wyraźniej słyszeć się dawał, były to strzały armatnie, które odtąd już co kilka minut przypominały nam, że się zbliżamy do teatru wojny, co animowało bardzo nasze całe towarzystwo.

Dojeżdżaliśmy w samej rzeczy do hiszpańskiej granicy, która uwidoczniała się nam już i po szczytach wzgórz najbliższych ukoronowanych małemi cytadelami.

W czyich rękach są teraz te nadgraniczne forty? zapytałem z ciekawością naszego furmana, który widocznie był baskiego pochodzenia.

Ten największy, na lewo, to St Martial, dawniej mieli go karliści, od roku jednak jest już w rękach „liberalnych."

A tamte mniejsze na prawo?

W tych mniejszych nigdy karlistów nie było, od początku należały do „liberalnych".

Czemuż Karliści ich nie odbiorą?

Oni je pewnie kiedy wezmą i St Martial odbiorą, oto i dzisiaj się gdzieś biją, słychać z daleka armaty, ale teraz im się tu jakoś nie wiedzie, odpowiedział ze smutną miną zagadnięty.

Już to w ogóle prosty lud w południowej Francyi, sympatyzuje bardzo z Karlistami, jak to sam niejednokrotnie spraw-

dzić mogłem. Robi to przedewszystkiem wspólność rasy z hiszpańskimi Baskami, i także przywiązanie do religii katolickiej; przeciwnicy zaś Don Karlosa nazywają się u nich rzadko: *Les Alfonsistes* nigdy *les trouppes regulières*, jak to się już w dziennikarstwie powszechnie dzisiaj utarło, w przeciwieństwie do band karlistowskich, najczęściej mówią o nich tylko po prostu *les Libéreaux*, i wiedzą doskonale co to słowo znaczy.

Stanęliśmy wreszcie w *Behobie*, koło mostu na rzece *Bidassoa*, która rozgranicza tutaj dwa sąsiednie państwa i dzieli to małe miasteczko na *Béhobie française* i *Béhobie éspagnole*.

Wysiedliśmy z naszych koszyczków, żeby przejść na drugą stronę mostu i postawić pierwsze kroki na hiszpańskiej ziemi. Smutnym widokiem jednak przyjęła nas Hiszpania zaraz na wstępie, przeszedłszy most, za pozwoleniem strzegących go żołnierzy, znaleźliśmy się od razu wśród ruin zburzonej zupełnie części miasteczka. Tylko dom najbliższy mostu, jeszcze jako tako wyglądał, na ganku siedział jakiś jegomość czarno ubrany z dużą czarną brodą i czytał gazetę. Podszedłem więc ku niemu i wszcząłem z nim rozmowę, zapytując go kiedy i przy jakiej sposobności hiszpańska strona Behobie została tak zniszczona i spustoszona.

„Właśnie rok temu będzie w październiku, karliści byli zajęli tę pozycyą, nie utrzymali się jednak długo, zostali zaraz wyparci i przy tej okazyi Behobie poszło w ruinę.“ Odpowiedział mi łamaną francuzczyzną zagadnięty czarny Hiszpan powstawszy ze swego miejsca i z gazetą w ręku podszedłszy ku mnie parę kroków, wyglądał złowrogo jak pokutująca dusza pośród ruin, ciągnąłem jednak dalej moją indagacyę.

Przepraszam pana bardzo, że przerywam panu lekturę, ale nie mógłby mi pan powiedzieć, jakie są najświeższe wiadomości, podobno wczoraj była bitwa tu gdzieś niedaleko.

Mała potyczka tam, gdzie ten dym widać, odrzekł mój nieznajomy i wskazał ręką na zachód, gdzie z jednego wzgórza dymiło się jak z Wezuwiusza. Ot właśnie dopalają się szczątki karlistowskich parapet (koszów fortyfikacyjnych), gdyż wczoraj Alfonsiści odebrali im tę pozycyę, i podpalili obóz, żeby karliści doń nie wrócili więcej.

A czy dużo ludzi zginęło w tej potyczce?

Zostało na placu coś ośmiu zabitych i kilkunastu rannych, reszta schroniła się w góry.

Więc tu w bliskości już teraz nigdzie nie ma karlistów?

Owszem są tu zaraz za tą górą, mówił, wskazując ręką na najbliższe wzgórze, tam dalej z brzegu rzeki można nawet widzieć karlistowskie pikiety, jest ich tam coś ze stu kilkudziesięciu.

Podczas gdy to mówił mój nieznajomy, machinalnie postąpiłem parę kroków naprzód we wskazanym kierunku.

Co pan robisz? zawołał.

Chciałbym zobaczyć karlistów.

Nie uszedłbyś pan w tę stronę ani sto kroków, a strzelanoby do pana z tej wieży, odpowiedział mi Hiszpan, pokazując basztę na moście tuż przed nami. na której było kilku żołnierzy. Był to dość przekonywujący argument, żeby poskromić swoją ciekawość. Zresztą i tak już wołano na mnie z tamtej strony mostu, gdzie już towarzystwo moje dawno wróciło, musiałem więc zakończyć rozmowę z nieznajomym, dziękując mu za jego grzeczność, i pospieszyłem czemprędzej do towarzystwa, które się już całkiem słusznie na mnie niecierpliwić zaczęło, że daję na siebie czekać, podczas gdy mieliśmy jeszcze bardzo wiele do zwiedzania przed zachodem słońca.

Z Behobie w pół godziny stanęliśmy w *Hendaye*, ostatniem mieście francuzkiem, tuż przy ujściu Bidassoy w samym kąciku Biskajskiej zatoki. Piękniej, ponętniej, niewiem czy gdzie kolwiek prezentuje się hiszpańska granica, jak pod Hendaye z brzegu Bidassoy, która tam już prawie tworzy morską odnogę, takiej nabiera szerokości i tak wspaniale wody swoje toczy, odźwierciadlając śliczne hiszpańskie wybrzeże, malownicze pasmo gór basztami najeżone, a na ich ciemnem tle wprost z wody wznoszące się *Irun* i starożytną *Fuentarabią*.

Wpłynęliśmy czółnem na szeroką przestrzeń Bidassoy już słonej i falującej jak morze i zmierzaliśmy wprost naprzeciw ku terasowo wkoło swego zamku i katedry skupionej Fuentarabii, podczas gdy za górami co moment grały armaty, i tuż za wodą jeszcze wyraźniej niż przedtem, widzieć było można dopalające się szczątki karlistowskiego obozowiska. Był to już przedsmak wojny, jednakowoż nie tyle przejmujący grozą, ile budzący niepohamowaną chęć zobaczenia, usłyszenia więcej, przypatrzenia

się bliżej temu teatrowi wojny, któremu nadgraniczna kurtyna: górzyste brzegi Bidassoy, śliczny przedstawiając widok, wyborną robiła reklamę, spotęgowaną jeszcze hukiem armat, który zpoza niej co chwila słyszeć się dawał.

Do tego efektu przyczynia się i Fuentarabia, do której właśnie dobiliśmy. Nie można sobie wymarzyć nawet bardziej charakterystycznego hiszpańskiego miasta. Wszedłszy przez ciężką kamienną bramę na główną i podobno jedyną ulicę we Fuentarabii, przypominają się wszystkie perspektywy ulic hiszpańskich, jakie się gdziekolwiek widziało w ilustracyach, w Donkiszocie Dorégo n. p. lub na dekoracyach teatralnych. Ulica wązka, nie całkiem prosta, i pochyło w górę idąca, wysokie stare poczerniałe gmachy z ciosu po jednej i po drugiej stronie, niektóre z nich bardzo pięknej renaissansowej architektury lub *barocco*, wszystkie okna z balkonikami i storami na zewnątrz, domy osłonione jeszcze prócz tego z góry bardzo występującemi poddaszami wspartemi na długich konsolach drewnianych misternej roboty, w głębi ulicy na najwyższym punkcie katedra z wieżą zamyka perspektywę. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego, żałowałem tylko że nie widziałem tej ulicy w samo południe, kiedy na środek ulicy występujące poddasza, najczarniejsze rzucają cienie i najżywiej odskakują od jaskrawego w górze błękitu nieba, a jasne promienie słońca nawet brudom, których tam nie brak wcale, nadają blask i przeźroczystość

Taka próbka najprawdziwszego hiszpańskiego *Ciudad*, wysunięta jakby umyślnie z głębi kraju na samą granicę, a ponętna jak zapleśniała butelka starej malagi, niezmiernie zachęca do dalszej wycieczki w głąb kraju.

Z Fuentarabii znowu czółnem popłynęliśmy do *Irunu*, po pod duży i piękny most z ciosowego kamienia, łączący Francyę z Hiszpanią, przez pół do jednego i do drugiego państwa należący, jak świadczą odpowiednie herby francuzki orzeł i hiszpański lew na dwóch środkowych filarach. Teraz most ten zamknięty z powodu wojny, stoi bez innego użytku, prócz że liniami arkad swoich podnosi jeszcze piękność otaczających go krajobrazów. Irun już ani w części niema tego charakteru co Fuentarabia, jest już zmodernizowany, ma jednak kilka gmachów bardzo pięknych. Plac główny i ulice były przepełnione wojskiem, nawet na wieży katedralnej był posterunek żołnierzy, zewsząd

słychać było trąbki i sygnały, wszystko miało pozór bardzo wojenny, jedna część miasta zupełnie zrujnowana z czasów zajęcia go przez wojska republikanckie. Irun (jak i Fuentarabia) jest teraz w rękach Alfonsistów. Była to jedna z największych klęsk Karlistów, gdy przeszłego roku (w październiku) stracili Irun, a z nim całe wybrzeże od Behobie aż do San Sebastian.

Z Irun trzeba się było jeszcze raz przeprawić przez Bidassoę na francuską stronę, napowrót do *Hendaye*, gdzie stanęliśmy już po zachodzie słońca, mrok już właśnie zapadł gdyśmy weszli na hotelową terasę nad wodą, trzeba się było rozstać z przecudnym widokiem na Fuentarabią, morze i hiszpańskie brzegi Bidassoy, ale bo też i czas był już posilić się po trudach pierwszej hiszpańskiej wyprawy dobrze zasłużonym obiadkiem, wśród miłej pogadanki, dzieląc się wspólnemi wrażeniami.

Choć się już zupełnie zciemniło, huk dział nie ustawał, owszem wzmógł się jeszcze. Jestto widać miejscowość w której chyba zawsze słychać taką muzykę, bo gdy w miesiąc potem w innem towarzystwie, także z polskiemi damami po raz wtóry (jak to później opowiem) znalazłem się znowu nad Bidassoą, tak samo grały armaty. Tym razem tłomaczono nam to w hotelu w ten sposób, że to Alfonsiści ostrzeliwaniem oczyszczają terrein, gdyż Don Alfons za parę dni, w niedzielę, ma przybyć do Irun i do Hendaye, by się zobaczyć z matką, królową Izabellą. I ja byłem wtedy jeszcze tak naiwny, tak nieznający położenia rzeczy, że dość tej wersyi uwierzyłem, nie domyślając się wcale, że tu w każdem słowie jest niepodobieństwo, i że to tylko bajeczka ułożona przez gospodynię hotelu *ad usum* turystów, żeby nas na ową niedzielę znowu do Hendaye zwabić na obiadek.

Wracałem do Biarrits zachwycony Hiszpanią, ale smutne wywiozłem z niej wyobrażenie o położeniu Karlistów. Przekonałem się naocznie, że wszystkie nadgraniczne forty są w rękach Alfonsistów, na miejscu prawie sprawdziłem, że wczoraj zostali znowu pobici i odparci w góry. Wszystko co widziałem i słyszałem potwierdzało mi tylko to, co przedtem codzień czytałem w depeszach agencyi Havasa: Karliści rozbici, trzymają się tylko jeszcze w górach w małych bandach, nie mają jednak wcale szansy długo się bronić, bo wojsko regularne w końcu da sobie z nimi radę.

Pomimo tego jednak, choć już uważałem sprawę Don Karlosa jakby za przegraną, chęć zrobienia jeszcze jednej, dalszej wycieczki do Hiszpanii, ożywiła się we mnie bardzo po tej pierwszej próbie. Przecie tam dalej, myślałem sobie wracając do Biarrits, wojna musi się prowadzić na większą skalę, kiedy słychać było taką kanonadę. — Już to armatnie strzały mają w sobie coś dziwnie elektryzującego, zbudziły mię one zupełnie z owego letargu bezczynności w jaki byłem popadł w ostatnich czasach, im to głównie zawdzięczam, że wracałem już do Biarrits z tem postanowieniem, żeby koniecznie ze sposobności tak blizkiego pobytu skorzystać, i wszelkich dołożyć starań, by choć na kilka dni do Hiszpanii się wybrać, a jeśli można, dotrzeć i do samego obozu Don Karlosa, który przecież jakiemiś znaczniejszemi siłami rozporządzać musi, kiedy pomimo tylu niepowodzeń jeszcze się trzyma. Otóż już dla tego samego żeby sobie ten fenomen wytłomaczyć, powiedziałem sobie że muszę raz jeszcze wybrać się do Hiszpanii, a potem choćby i dla tego, że niewiem czy trafi mi się drugi raz w życiu taka wyborna sposobność, przypatrzenia się zbliska, jako zupełnie neutralny świadek na całkiem obcym gruncie, najciekawszemu w dziejach ludzkości odwiecznemu zjawisku: wojnie!

Kiedym rozmyślał o tem wszystkiem, nie uważałem nawet jak się niebo od strony morza zachmurzyło, i gdyśmy byli zaledwie w połowie drogi do Biarrits, napadła nas burza. Deszczu wielkiego nie było, ale straszne grzmoty i pioruny. Nigdym jeszcze nie widział nic podobnego; błyskawice raz wraz rozcinały ciemny horyzont, nie w zwykłych piorunowych zygzakach, lecz w najdziwaczniejszych parabolach, hiperbolach, drobno ząbkowanych liniach kreśliły swoje drogi zanim padły w morze z gromowym hukiem i trzaskiem. Jakże mizerną i nędzną w obec tej niebieskiej kanonady wydała mi się owa ziemska którą przed godziną słyszałem!... lecz czemuż pomimo tego tamta, nędzna, bardziej do głębi przejmowała, choć tu zda się sam Bóg strzela a tam tylko ludzie?... bo i najwspanialsza burza, to tylko widowisko, proste natury zjawisko, a wojna... to dramat!...

Stanęliśmy wreszcie w Biarrits około północy, bardziej wystraszeni burzą niżeli zmoknięci; myślałem że pożegnawszy się z mojem towarzystwem odpocznę zaraz we śnie głębokim po

doznanych wrażeniach dnia tego, tymczasem zaledwie wszedłem do swego pokoju doleciały mię znane akordy Straussowskiego walca. Na dole w kasynie tańczono,... co tu robić? orkiestra tak silna że spać nie sposób, nie było więc innej rady tylko zebrać się na prędce i zejść na dół przypatrywać się szalonemu wirowi walca... Właśnie tańczono kotyliona, taniec jakby umyślnie na to wyrachowany, żeby jednym rzutem oka w około sali obejrzeć całe towarzystwo, które jakoś w niecodziennym prezentowało się blasku, bo większa część była w strojach balowych, gdy tymczasem zwykle tańczono w kasynie w prostych kostiumach... a było dużo ładnych Hiszpanek.

Co to jest, że dzisiaj kasyno takie świetne? zapytałem się bardzo lubiącej rozmawiać buffetowej pani.

To Hiszpanie urządzili bal składkowy.

Karliści czy Alfonsiści?

Są tu i jedni i drudzy, tańczą razem, jak pan widzi, w najlepszej zgodzie.

A o trzy mile z tąd strzelają do siebie...

Nazajutrz już na seryo zacząłem nad tém przemyśliwać jakimby sposobem utorować sobie drogę do Hiszpanii. Do Alfonsistów łatwy przystęp, ze zwykłem paszportem wizowanym w konzulacie można się wszędzie puszczać, ale do Karlistów trzeba mieć specyalne rekomendacye. Żałowałem bardzo że w Paryżu nie postarałem się o odpowiednie listy, ale w Paryżu nie myślałem o tem, gdyż spodziewałem się, że prędzej Karliści przyjdą do mnie do Biarrits, nim ja się do nich wybiorę. Chcąc błąd naprawić udałem się do jednego z moich przyjaciół we Wiedniu, o którym wiedziałem że ma bliskie stosunki i znajomości z Karlistami, napisałem zaraz do niego z prośbą o list dobrze mię polecającący jakiemu z Karlistowskich dygnitarzy, który przypadkiem może bawi w Biarrits lub w Bayonnie, i któryby mi mógł dać *passe partouts* do Karlistowskich krajów.

Los jednak widocznie sprzyjał moim projektom, gdyż wnet odkryła mi się przypadkiem do Hiszpanii dużo lepsza i bliższa niż na Wiedeń droga.

W parę dni po mojej pierwszej wycieczce do Hiszpanii pojechałem do Bayonny, żeby zwiedzić to miasto tylko o niecałą milę od Biarrits odległe, a pięknie nad rzeką Adour położone, z prześliczną katedrą, której mu każda stolica pozazdrościć może, bo jest to, zwłaszcza wewnątrz, jeden z najpiękniejszych gotyckich kościołów na świecie. Otóż w Bayonnie odszukałem mego dawnego znajomego Polaka p. R., który tamże jest wicekonsulem angielskim. Z obowiązku agenta dyplomatycznego, który ze wszystkimi musi mieć stosunki i znajomości, p. R znał kilku najznakomitszych karlistów zamieszkałych w Bayonnie, to też gdy po serdecznych przywitaniach między innemi rzeczami zgadało się i o tem, że chciałbym dostać się do obozu Don Karlosa p. R. odrazu mię zapewnił, że to się bardzo łatwo da urządzić, gdyż on już niejednego Anglika tam wyprawił. Jakoż zabrał mię zaraz ze sobą na obiad, żebyśmy się o wszystkiem swobodnie mogli nagadać i plan kampanii ułożyć. Nietracąc czasu puściliśmy się zaraz w drogę, gdyż p. R. nie mieszka w Bayonnie, tylko na wsi o dwie wiorsty od miasta, przy drodze do Biarrits, w miłej willi z ogrodem, niby w naszym dworku szlacheckim, zkąd codzień do bióra dojeżdża. Choć żonaty z Angielką i oddawna za granicą zamieszkały, w domu u siebie zachowuje we wszystkiem polskie tradycye i dzieci mówią po polsku. Bardzo miło mi było w tak dalekim kraju, gdzieś aż pod Pireneami znaleść się nagle w polskim domu, jakby żywcem z kraju naszego aż tam zaniesionym, i w pokoju jadalnym ozdobionym znanemi polskiemi sztychami, portretami polskich bohaterów, zasiąść do barszczu przy miłej gawędce i zakropić obiadek starym maliniakiem, przy którym niech się schowa niejedna malaga.

Następna wizyta w Bayonnie już mi otworzyła wrota do Hiszpanii. P. R. zaprezentował mię panu Vte de B. Jest to poważny i małomowny Francuz, legitymista, w dosyć podeszłym już wieku, osobisty przyjaciel Don Karlosa, interesujący się bardzo jego sprawą. Jest on nawet autorem broszury p. t. *Charles VII* par V. de B. Zastaliśmy u niego właśnie młodego oficera karlistę, pięknego hiszpana, który wprost z Hiszpanii przyjechał, i przed zawieszonym na ścianie planem twierdzy Seo d'Urgel z otoczeniem, który sobie p. V. de B. sam był namalował, z wielką żywością opowiadał szczegóły oblężenia i poddania się

tej fortecy, lecz niestety nie mówił innym językiem, tylko po hiszpańsku, nie wiele więc mogłem korzystać z jego opisów, tyle jednak mogłem zauważyć, że obydwaj ci panowie nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do tej straconej pozycyi.

Z prawdziwą atencyą pokazał mi p. V. de B. na przeciwległej ścianie portret Don Karlosa z żoną i dziećmi, wcale ładną dużą akwarelę, dostał ją od nich samych w podarunku.

Mówiąc o Don Karlosie, nazywał go zawsze po prostu *le roi*. Już zaraz u tych pierwszych karlistów, z jakimi się zetknąłem, tem byłem uderzony, jak wielką cześć mają dla osoby Don Karlosa i wiarę w jego ostateczny tryumf, pomimo ówczesnych niepowodzeń, które tylko za chwilowe, łatwe do powetowania dezawantaże wojenne uważali. Nie bardzo umiałem pogodzić ten ich optymizm z wrażeniami z mojej niedawnej wycieczki do hiszpańskich granic.

Pan V. de B. uprzedzony już przez p. R. o celu mojej wizyty, z wielką uprzejmością obiecał mi wszelkie ułatwienia, żebym ile możności bez żadnego niebezpieczeństwa mógł się dostać aż do samej kwatery Don Karlosa, której mi jednak wtedy jeszcze nie nazwał. Zaopatrzył mię więc zaraz w najformalniejszy paszport od władz karlistowskich, i obiecał mi dać jako przewodnika całkiem pewnego Baska umiejącego dobrze po francuzku i po hiszpańsku, z którym będę mógł śmiało puścić się w drogę i częścią piechotą, częścią konno, lub na mule odbyć całą podróż tam i napowrót, na co jak mówił pięć dni mi wystarczy.

Przez P. R. zapoznałem się w Bayonnie jeszcze z innym Francuzem, także legitymistą i agentem karlistowskim p. S., który gdy się dowiedział o moim zamyśle, nadzwyczaj serdecznie mię przyjął. Żywy i rozmowny Francuz w każdym ruchu i słowie, a zapalony Karlista, odrazu zajął się moją projektowaną wycieczką do Hiszpanii, jakby swoją osobistą sprawą.

Niech mi pan wierzy, mówił do mnie p. S., że mi na niczem bardziej nie zależy jak na tem, żeby jak najwięcej turystów do nas jeździło, przypatrzyło się zbliska karlistom i naszej wojnie, gdyż jestem przekonany, że każdy musi wywieźć ztamtąd lepsze wrażenie niż się spodziewał, musi otrząść się raz na zawsze z tych przesądów, którymi każdy chcąc nie chcąc przesiąka czytając codzień te wszystkie kłamstwa i kalumnie

systematycznie rzucone na nas przez całą europejską liberalną prasę. Dla tego też nie wiem co gotówbym zrobić, żeby pana w jak najlepszych warunkach do Hiszpanii wyprawić.

Dziękując mu bardzo za jego uprzejmość, powiedziałem panu S. że p. V. de B. dał mi już paszport i że obiecał mi przewodnika.

Otoż właśnie chciałem panu powiedzieć odrzekł na to pan S. że dla pana, który jak mi to p. R. wspomniał, chsesz ile możności o wszystkiem jak najszczegółowiej się poinformować i masz zamiar napisać o tem artykuł w swojej „Revue,“ nie jest wcale praktyczną rzeczą puszczać się w drogę z prostym Baskiem, który pana wprawdzio bardzo pewnemi drogami wszędzieby doprowadził, lecz nie wiele panu mógłby pokazać, i o niczem jak się należy oświecić. Pan musisz pojechać tam z kimś takim przed kim wszystkie drzwi się otwierają, ktoby mógł pana wszędzie zapoznać z osobistościami, od których się pan jak najwięcej będziesz mógł dowiedzieć. Jestem pewny że niedługo będzie trzeba czekać na taką okazyą, żebyś pan mógł odbyć tę podróż przyjemnie i pożytecznie.

Podczas gdy wysilałem się na jak najgrzeczniejsze podziękowania za tyle uprzejmości, mój francuz się zamyślił, wreszcie po chwili uderzając się w czoło wykrzyknął:

Mam już dla pana towarzystwo!... i to wcale nie złe. Madame (tak nazywają Karliści żonę Don Karlisa Donnę Margueritę) Madame za parę dni ma wyjechać z Peau do swego męża, dam panu zawczasu znać kiedy będzie przejeżdżała przez Bayonnę, żebyś pan tu mógł być przed tym gotów do podróży, przedstawię jej pana, i nie wątpię, że zechce pana wziąść ze sobą.

Od razu nie bardzo w to wierzyłem, żebym aż tak tryumfalnie miał wjeżdżać do państwa Don Karlosa, od owego dnia jednak kiedy poznałem p. S. częstym byłem gościem w Bayonnie, żeby się dowiadywać czy też jaka dobra okazya dla mnie się nie trafia. Nie zawsze mogłem widzieć się z p. S. gdyż był bardzo zajęty, ile razy jednak z nim mówić mogłem; starałem się ile możności poznać jego zapatrywania na kwestyę hiszpańską. Niedowierzanie moje i objekcye jakie mu robiłem, widząc jego ufność i wiarę, pewność prawie, że Don Karlos będzie królem w Madrycie, zagrzewały go bardzo.

Prawda mówił, że w ostatnich czasach mieliśmy kilka niepowodzeń na placu boju, powiem panu nawet więcej, w Katalonii może być wkrótce jeszcze gorzej, gdyż i w samym obozie Karlistów zaszły pewne nieporozumienia, dowiemy się może wkrótce o niektórych odstępstwach (p. S. miał tu na myśli wytoczoną później sprawę jenerałów Saballsa i Dorregaraya), można więc być przygotowanym jeszcze i na na większe klęski, jednakże nie odtego zależy nasz sukces, bo nie wielkie zwycięztwa doprowadzą w końcu Don Karlosa do Madrytu, on nie potrzebuje się nawet na to hazardować, potrzebuje tylko czekać, tylko wytrwać na stanowisku jakie teraz zajął, a z którego, jak się pan sam przekonasz, poznawszy i pozycye i ducha armii i kraj w którym walka się toczy, nie łatwo go ruszyć. Tymczasem prędzej czy później rewolucyjny gmach w Madrycie do reszty zwalić się musi, i w Madrycie już wszyscy zgadzają się na to, że panowanie Don Alfonsa nie potrwa długo, ministeryum z którym zaczął swoje rządy już zeszło na drugi plan, Canovas del Castillo ustąpił miejsca radykalniejszemu Jovellarowi, a cóż za przyszłość króla pozbawionego tych ludzi co go na tron wprowadzili. Będzie on coraz więcej tyko ślepem narzędziem partyi, która przypadkowo będzie u steru, i w końcu ziemia z pod nóg mu się usunie, zwłaszcza że dzisiejsze ministeryum już nawet zaczyna wchodzić na tory walki z kościołem, a natem w Hiszpanii każdy rząd kark skręcić musi. Dopiero pośród ogólnej powodzi rewolucyi, która prędzej czy później znowu w Hiszpanii niezawodnie wybuchnie, pokaże się nareszcie, że tylko jeden Don Karlos może jej położyć tamę i dać Hiszpanii gwarancyę wewnętrznego pokoju i porządku, on, król katolicki na wskóś katolickiego narodu wszystkich Hiszpanii: *Rey catholico de las Espanas!*

W tych mniej więcej słowach rozwijał p. S. swoją teoryę niezawodnego tryumfu Don Karlosa, nie wykluczając jednak z rachunku i wojennych szans które się wnet dla Karlistów mogą poprawić.

Jakoż wkrótce potem gdy znowu byłem w Bayonnie, zastałem ruch wielki w karlistowskich kołach i wielkie oczekiwanie. Już drugi dzień trwała bitwa na granicy, koło Oyarzun, o milę od miejsc które niedawno zwiedzałem. Jen. Trillo zrobił ze znaczniejszemi siłami wycieczkę ze San Sebastian, gdzie jest dodowodzącym, i uderzył na najważniejsze pozycye Karlistowskie

w pobliżu, na San Marcos, Santiagomendi i t. d.... wydawszy pierwéj proklamacyę do żołnierzy pełną śmiesznych przechwałek, ufny w zwycięzwto, gdyż jak mówił: „Karliści uciekają przed każdym krokiem wojsk naszych, jak stada spłoszonych owiec!“ Była to jedna z większych batalii (z 26go na 27 września) donosiły o niej później wszystkie dzienniki. W Bayonne z gorączkową niecierpliwością wyczekiwano depesz z pola walki, wreszcie nadeszły w parę godzin po moim przyjeździe i to jak najlepsze dla Karlistów: nieprzyjaciel odparty na całéj linii! Jenerał Trillo straciwszy przeszło 600 ludzi cofnął się napowrót do San Sebastian. Radość moich znajomych Karlistów w Bayonnie była nie do opisania, tak że się koniecznie trzeba było cieszyć razem z nimi, chociaż przez to szanse mojej podróży do Hiszpanii bardzo chwiać się zaczęły. O tem żeby Donna Marguenitta mogła tam jechać teraz, kiedy wojna na samej granicy, ani mowy być nie mogło. Pan S. któremu się zupełnie oddałem w entrepryzę tego samego dnia gdzieś wyjechał, podobno na plac świeżego boju, by dokładniejszych zasięgnąć wiadomości, — dość że bardziej niż kiedykolwiek znowu zniczem wróciłem do Biarrits, straciwszy już prawie nadzieję, żeby się moja ekspedycya udać mogła, gdyż już tylko kilka dni w Biarrits zabawić miałem.

Tymczasem nazajutrz wieczór otrzymałem kartkę z Bayonny od p. R. następującej treści; „Przyjeżdżaj pan jutro o 11tej rano do Bayonny, i bądź pan gotów do podróży.“

Chociaż widziałem się wreszcie u celu dwutygodniowych moich najgorętszych życzeń i pragnień, jednakowoż przyznaję się szczczerze, że mi bardzo żal było wyjeżdzać z Biarrits, opuszczać towarzystwo, któremu tyle najprzyjemniejszych chwil zawdzięczam, zwłaszcza że dniem pierwej powiększyło się jeszcze znacznie polskie grono najmilszymi gośćmi, i zaczął się w Biarrits najświetniejszy polski saison... czemuż nie zaczął się choć tydzień pierwej! Pocieszałem się jednak myślą, że tem milszy będzie mi powrót za dni kilka.

Zebrawszy się na prędce jak mogłem, wyruszyłem nazajutrz o 10tej rano do Bayonny, nie wiedząc jeszcze nic z kim, czem i którędy pojadę dalej, to też miałem zamiar dopiero w Bayonnie ostatecznie się wyekwipować, stosownie do tego czy dalsza moja

podróż będzie się miała odbywać powozem, czy konno, na mule lub na ośle, czyli też piechotą. Po drodze do Bayonny zabrałem ze sobą p. R., który był łaskaw na mnie czekać, i od niego dopiero dowiedziałem się, że p. S. wysela mię z adjutantem Don Karlosa, (który w jakiejś misyi był we Francyi, a dziś wraca do Hiszpanii), i że będzie nas oczekiwał w biórze konsulatu angielskiego.

Przybywszy tamże około 11tej zastaliśmy wiadomość, że p. S. już raz był w kancelaryi, przed pół godziną i kazał powiedzieć, iż przyjdzie raz jeszcze niebawem. Nie mogłem się więc ruszyć z miejsca, bojąc się z nim rozminąć, i przez to nie porobiłem żadnych prawie przygotowań do podróży. Nagle po pół do 12tej zjawił się p. S. bardzo zaaferowany, i przywitawszy się zaledwie zapytał mię:

Czyś pan gotów?

Niezupełnie... a kiedyż jedziemy?

Natychmiast, odpowiedział p. S. popatrzywszy na zegarek, pociąg odchodzi za 10 minut, i pański towarzysz, któremu pana oddają pod opiekę, już pewnie czeka na dworcu.

A więc koleją jedziemy?

Do St. Jean de Luz koleją, potem przez granicę piechotą.

Piechotą? w takim razie mam może za dużo rzeczy ze sobą.

W istocie za dużo, wyrzuć pan połowę, nie potrzebujesz pan tam i tak żadnego kostiumu, bo i do samego króla możesz pan iść w tem co pan masz na siebie, *à la guerre, comme à la guerre*.... i te książki pan zostaw, wykrzyknął p. S. widząc kilka książek w mojem zawiniątku, i śmiejąc się ze mnie, żem się na wojnę wybrał z biblioteką.

Przepakować zawiniątko, zebrać się czem prędzej, wsiąść razem z p. R. i p. S. do dorożki, pojechać na dworzec kolei, zdążyć na czas, zmienić pieniądze, kupić bilet, zapoznać się z moim towarzyszem podróży panem *Unzettą:* dawnym deputowanym w kortezach z prowincyi *Guipuscoa*, a dziś adjutantem Jego Król. Mości Karola VII., odebrać od pana S. bilet rekomendacyjny do pana *Conte el Pinar* pierwszego ministra Don Karlosa pożegnać się z p. S. i p. R. dziękując im serdecznie za wszystkie trudy, które dla mnie podjęli,... wreszcie wsiąść do ruszającego już wagonu.... wszystko to było dziełem owych

10 minut, które mi od zjawienia się pana S. w biórze konsulatu do odejścia pociągu zostały.

Żem się nie spóźnił... nie zmarnował tak dobrej okazyi dostania się aż do samej kwatery Don Karlosa, zawdzięczam to głównie panu R., który we wszystkiem mię wyręczał, i zwłaszcza w ostatnich chwilach prawdziwie braterskie oddał mi usługi.

(Ciąg dalszy i dokończenie nastąpi).

Ign. Skrochowski.